

Franciszek Łozowski

ONI OCALILI PRZEMYSŁ

Przed dwoma tygodniami zamieściliśmy w naszym dodatku artykuł Ludwika Gomolca omawiający działalność dywersyjną i partyzancką w Wielkopolsce podczas okupacji hitlerowskiej. Publikowany dzisiaj artykuł jest fragmentem opracowania Franciszka Łozowskiego pt. „Polska Partia Robotnicza w walce o nacjonalizację przemysłu w województwie poznańskim”. Praca ta stanowi pierwszą próbę przedstawienia polityki PPR w przeprowadzaniu w naszym województwie jednej z najistotniejszych reform społecznych, jaką była nacjonalizacja przemysłu.

W okresie dzielącym wyzwolenie ziem polskich po prawej stronie Wisły od przejęcia okupanta z terenów zachodnich, PKWN, wykorzystując pierwsze doświadczenia reform społeczno-politycznych, podjął przygotowania do przyjęcia z pomocą ziemom stojącym w obliczu wyzwolenia. W tym celu w listopadzie 1944 r., z inicjatywy KC PPR przystąpił on do tworzenia tzw. grup operacyjnych z zadaniem przeniesienia na tereny nowo wyzwolone doświadczeń „ludelskich” i udzielenia im pomocy w zakresie odbudowy administracji państwowej i odrodzenia życia gospodarczego. W skład grup operacyjnych wchodziły działające PPR, PPS i pozostałych stronnictw demokratycznych oraz przedstawiciele ministerstw i grono fachowców różnych specjalności. Grupy te z chwilą rozpoczęcia ofensywy styczniowej, posuwały się systematycznie za Armią Czerwoną na zachód.

W ten sposób na teren Wielkopolski, podobnie jak na inne obszary kraju, przybył już w pierwszych dniach wyzwolenia cały sztab grup operacyjnych i pełnomocników różnych resortów na czele z gronem działaczy KC PPR, w tym również grupa operacyjna Ministerstwa Przemysłu. Grupa operacyjna do spraw przemysłu dotarła do Poznania dokładnie 5 lutego 1945 r. Na jej czele stał początkowo St. Szenic, a następnie inż. E. Walentek.

Jeszcze przed wyzwoleniem...

Zadania, oczekujące grupę operacyjną, były wyjątkowo trudne i odpowiedzialne, gdyż trafiły one tutaj na grunt prawie zupełnie nieprzygotowany do mających nastąpić przeobrażeń rewolucyjnych. Wskutek silnego terroru okupanta, który w decydującym okresie rozbił dobrze zapowiadającą się konspirację PPR, nie zdołano tutaj powołać ani podziemnych komitetów fabrycznych, ani rad narodowych, które na innych terenach, jak np. na Śląsku były dosyć licznie reprezentowane. W tych warunkach jedynym oparciem organizacyjnym dla wielkopolskiej grupy operacyjnej do spraw przemysłu były postawione po wyzwoleniu komórki PPR. Niektóre z nich, jak np. we Wschowie, Koninie czy Poznaniu, powstały przed jej przybyciem i od pierwszej chwili rozwinęły żywą działalność na odcinku tworzenia i wzmocnienia władzy. Pierwsze organizacje peperowskie i ich działacze z okresu okupacji wykazali wiele troski o zabezpieczenie mienia społecznego, a w tym także przemysłu. Np. w Poznaniu z inicjatywy tow. F. Danielaka już 1. II. 1945 roku utworzono „Milicję Proletariatu”, której zadaniem było m. in. chronić obiekty stanowiące majątek narodowy.

Zasługa robotników

Najbardziej patriotyczna część klasy robotniczej dała dowód dużego wyrobienia obywatelskiego jeszcze w końcowej fazie okupacji. Kiedy powołana troską o zachowanie w całości swoich warsztatów

pracy na potrzeby wyzwolonej ojczyzny często z narażeniem własnego życia chroniła urządzenia fabryczne przed wywiezieniem ich przez okupanta w głąb Niemiec. Tak np. postąpili pracownicy jednej z fabryk Zakładów H. Cegielskiego, którzy na próbę wywieżenia przez hitlerowców w ostatnich tygodniach 20 wagonów narzędzi i różnych cenych urządzeń, odpowiedzieli zbiorowym sabotażem i zapakowali, a następnie wyeksperymentowali tylko 1/5 część przeznaczonych do wysyłki narzędzi, a pozostałą większość ukryli w kanałach i innych niedostępnych miejscach. Dzięki temu fabryka mogła podjąć produkcję zaraz po wyzwoleniu. Podobnie uczynili

również robotnicy elektrowni tych samych zakładów, którzy podczas ewakuacji Niemców, zamiast zapakować najważniejsze części turbin do przeznaczonych na to skrzyń, z narażeniem życia ukryli je w schronach i innych zakamarkach, a po wyzwoleniu wydobyli i uruchomili elektrownię, która jeszcze przed zakończeniem działań wojennych w Poznaniu, zaczęła pracować na potrzeby zniszczonego i martwego miasta. Postawę godną podkreślenia zajęli też w ostatnich dniach okupacji robotnicy warsztatów kolejowych w Ostrowie Wlkp.

„Gdy Niemcy w ostatnich dniach wydali rozkaz zdemontowania maszyn i ładowania ich na wagony — pisała później „Wola Ludu” — polska załoga, stanowiąca większość pracujących, nagle zniknęła z warsztatów i hal, a Niemcy nadto zajęci byli sobą i własnym dobytkiem żeby się tym zająć...”

Dokończenie na str. 2

Piotr Życki

L - jak LUBOŃ

Przybyszowi, zdążającemu przez most, wiodący do lubońskich „Fosforów” — spostrzeżenie, to nasuwa się nieodparcie: najbliższe otoczenie przypomina wyglądem krajobraz śląski. Wielka hałda wpałek koloru rdzy, szare, brudne budynki, wolno unoszące się dymy, nieopodal wodne rozlewiska. Tyle, że w pejzażu brakuje sylwetki kopalnianej wieży.

Trafiłem do PZNF w nienajlepszą porę. Akurat urzędowała stołeczna komisja, która miała ostatecznie zdecydować, czy dawnego Oddziału Instytutu Kwasu Siarkowego i Nawozów Fosforowych, istniejącego ongiś przy fabryce a przekształconego w Zakładowe Laboratorium Badawcze — nie przechrzcić przypadkiem na powrót na instytutową placówkę. Na czym stało — nie wiem, ale słu mi to nie spęda, jako że każda nowa decyzja reorganizacyjna bywa motywowana u nas słuszniej niż poprzednia.

Mniej więcej każdy setny mieszkaniec kuli ziemskiej jest obywatelem Polski Lu dowej.

Naszego udziału w życiu, w osiągnięciach ludzkości, w rozwiązywaniu wielkich problemów i codziennych kwestii międzynarodowych nie mierzy się jednak tylko liczbą ludności naszego kraju. Czy zatem rola nasza w świecie jest duża czy mała, większa lub mniejsza, aniżeli legitymuje nas do tego ponad 30 milionów mieszkańców kraju? Co osiągnęliśmy w tym względzie w ciągu 18 długich lat po kataklizmie nowej wojny, w ciągu 18 krótkich — jak na takie zadania — lat budowy nowego ustroju? Ekonomistę przypomina nam, że produkcja Polski międzywojennej stanowiła w roku 1938, a więc po 20 latach samodzielnego bytu, około 20 proc. średniego poziomu europejskiego, podczas gdy przed pierwszą wojną światową sięgała 30 proc. tego poziomu. A więc cofaliśmy się w porównaniu z naszymi sąsiadami. Dziś — powiedzą nam ekonomiści — Polska posiada wyższy od przeciętnego udział w produkcji przemysłowej świata. A przecież w tym czasie inne kraje i narody nie drzemały. We wszystkich niemal wskaźnikach gospodarczych produkujemy więcej, czasem nawet dużo więcej, aniżeli to wynikałoby z przypadającego na nas 1 procentu zaludnienia kuli ziemskiej. W wielu gałęziach produkcji jesteśmy w światowej czołówce. Węgla np. eksportujemy obecnie, mimo spadku koniunktury, znacznie więcej, aniżeli każde inne państwo Europy, a w skali światowej zajmujemy drugie miejsce za Stanami Zjednoczonymi. W niektórych dziedzinach pojawiliśmy się dopiero po drugiej wojnie światowej na rynkach światowych. Pomimo to np. w budownictwie okrętowym zdystansowaliśmy wiele krajów ze starą tradycją morską i zajmujemy dziś poważne miejsce w pierwszej światowej dziesiątce.

Ale — rzecz jasna — wskaźniki gospodarcze nie wyczerpują zagadnienia.

Na mapie politycznej świata

Inne jest przede wszystkim nasze miejsce w geografii politycznej świata. Inne było położenie Polski międzywojennej, osamotnionej wśród sąsiadów wraz ze swoją „mocarstwowością” i zacofaniem. Inne, solidniejsze i trwalsze miejsce zajmuje nasz kraj jako współuczestnik prac i wysiłków całego obozu socjalistycznego. Nasza przynależność do tego obozu pomnaża wielokrotnie nasze własne siły, wzmacnia międzynarodową pozycję Polski i pozwala rozwijać inicjatywę w walce o ugruntowanie pokoju w Europie.

W Układzie Warszawskim Polska posiada dziś mocną gwarancję bezpieczeństwa naszych granic. Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej stwarza nam najdogodniejsze możliwości dla pełnego wykorzystania bogactw naturalnych i sił gospodarczych naszego kraju w oparciu o wielki i pewny rynek państw socjalistycznych.

Istotą tej współpracy określa dokument pod nazwą „Podstawowe zasady międzynarodowego podziału pracy”, przyjęty na ostatniej sesji moskiewskiej RWPG: „W światowym systemie gospodarki socjalistycznej istnieją sprzyjające warunki nie tylko dla konsekwentnego i planowego podziału pracy pomiędzy krajami, lecz również dla kształtowania w każdym z tych krajów racjonalnego kompleksu wzajemnie powiązanych i uzupełniających się gałęzi gospodarki narodowej...”

W oczach Zachodu

W podzielonym świecie dzisiejszym nasze jasno określone miejsce wśród krajów socjalistycznych nie odpowiada, bo odpowiadać nie może, rządzącym kołom politycznym na kapitalistycznym Zachodzie. Można jednak śmiało powiedzieć, że respekt wobec Polski, uwaga z jaką przyjmuje się wystąpienia jej przedstawicieli na forum międzynarodowym, wzrosły niepomniernie właśnie dlatego, że Polska zajmuje pozostające miejsce w obozie socjalistycznym. Każda inicjatywa polska na terenie międzynarodowym, wynikająca z dobrze pojętych interesów naszego kraju, ma moralne i materialne poparcie całego obozu socjalistycznego — i to dodaje jej wagi i znaczenia, to stwarza realne szanse dla realizacji polskich postulatów — jeśli tylko strona przeciwna okaże gotowość ich rzeczowego rozważania.

Najzacieklejszy przy tym wrogiemu ustrojowi socjalistycznego zdają sobie dziś sprawę, że polska politykę zagraniczną uznaje i popiera bez zastrzeżeń cały na-

Wojciech Barcz

Polskie miejsce pod słońcem

W 18 rocznicę Manifestu PKWN

ród polski, a generalnie rzecz biorąc — nawet najdalsze skupiska polskie na świecie.

Szczególna popularnością Polska cieszy się w opinii publicznej krajów kapitalistycznych, które miały możliwość zapoznać się z osiągnięciami i charakterem budownictwa socjalistycznego w naszym kraju i które nauczyły się cenić umiar i rzeczowość polskich wystąpień na terenie międzynarodowym.

W wysokim stopniu te cechy naszej polityki zagranicznej reprezentuje najgłośniejsza z polskich inicjatyw — plan strefy bezaatomowej w Europie środkowej, zwany popularnie Planem Rapackiego. Odrzucony przez rządy państw bloku atlantyckiego, nie bez presji ze strony najbardziej zainteresowanych Niemiec zachodnich, plan ten cieszy się rosnącym zainteresowaniem opinii i tych kół politycznych na Zachodzie, które trzeźwo doceniają niebezpieczeństwo zbrojeń atomowych na styku dwóch obozów i z udziałem reżymistycznych sił militarystyki niemieckiej w NRF.

Polska pomoc

Nie przypadkiem plan Rapackiego najsilniejszy odźwięk poza obozem socjalistycznym zyskał w krajach neutralnych i niezaangażowanych. Na genewskiej konferencji rozbrojeniowej wszystkie państwa tej grupy opowiedziały się jednocześnie za strefą bezaatomową w Europie środkowej. W polskim dążeniu do zredukowania niebezpieczeństwa wybuchu wojny atomowej w strefie szczególnie zagrożonej, państwa te słusznie widzą rzetelny wkład na rzecz pokojowego współistnienia. A więc na rzecz polityki, którą zwłaszcza niezaangażowane kraje Azji i Afryki uważają za fundament własnego bezpieczeństwa.

I w innych dziedzinach kontakty pomiędzy Polską a tymi krajami są dziś żywe jak nigdy dotychczas — z wyraźną korzyścią dla obydwu stron.

Polska udzielająca pomocy krajom opóźnionym w rozwoju — to zupełnie nowy element w naszej 1000-letniej historii. Poza wielostronną wymianą handlową z krajami pozaeuropejskimi, Polska uczestniczy w budowie 2000 obiektów przemysłowych w krajach dawnej strefy kolonialnej, 200 polskich specjalistów służy w tej chwili radą, pomocą i doświadczeniem młodym, wyzwolonym państwom, które rozpoczęły u siebie budowę nowoczesnego przemysłu.

Otwarte drzwi na świat

Kiedy w roku 1959 Stany Zjednoczone usiłowały stordedować kandydaturę Polski do Rady Bezpieczeństwa, kolejne wyniki głosowania były miarą popularności i sympatii, jaką kraj nasz cieszy się dziś na całym świecie. W 54 głosowaniu Polska otrzymała większość 73 głosów na 76 państw głosujących, 42 razy polska kandydatura otrzymywała większość, mimo nieustannych manipulacji kuluarowych na jej niekorzyść.

Obecność przedstawicieli Polski ceniona jest we wszystkich międzynarodowych organizacjach. Niedługo Polacy wybierani są w nich przewodniczącymi. Ze 140 krajami Polska utrzymuje dziś stosunki handlowe. W ponad 60 posiada przedstawicielstwa dyplomatyczne, z tego 39 ambasad. Przedstawiciele Polskiej Akademii Nauk uczestniczą w 61 organizacjach międzynarodowych, a 36 członków tego parlamentu polskiej nauki zasiada w prezydium światowych organizacji naukowych.

Gdziekolwiek spojrzymy — wszędzie dziś Polska lepiej jest znana, wyżej ceniona, niż była kiedykolwiek w swej historii. 18 lat rządów ludowych zapewniło nam trwałą i powszechnie uznaną, wysoką pozycję wśród pozostałych 99 procent mieszkańców kuli ziemskiej.

je. Jeszcze przed czterema laty w PZNF wskaźnik ten sięgał liczby 70 kilogramów; ale obecnie wynosi tylko 19,4! A to jest właśnie współczesna światowa norma.

To była nie tylko sprawa ambicjonalna; chodziło głównie o koszty. Ale nie wyłącznie. Bo im mniej zużywanego w PZNF azotowego kwasu, tym mniej szło w niebo szkodliwych dla otoczenia tlenków azotu.

W szarym budynku, posiwiiałym od fabrycznych pyłów, rozmawiam z inżynierem Zenonem Szulcem. Sprawy, o których mówimy, nie mają nic wspólnego z egzotyką znaku Zorro, powielonego rękami

Z reporterskich wędrówek

pracowników wielokrotnie na fabrycznym terenie. Mówimy wyłącznie o ekonomice przedsiębiorstwa. Inżynier Szulc wygląda tak młodo, że człowiek zadaje sobie pytanie, kiedy zdążył on skończyć dwa techniczne fakultety, objechać parę europejskich krajów oraz zdobyć paroletnie doświadczenia na kierowniczym stanowisku. A jednak wszystko to ma za sobą. To i wiele niezwykle istotnych dla rozwoju przedsiębiorstwa przesiągnięć.

Realizował je, rzecz jasna, nie sam, jak nie sam jest autorem „szla-

gięru” tegorocznego sezonu w PZNF, o którym za chwilę. Epoka Leonarda da Vinci dawno przeminęła i dzisiaj do fenomenów zaliczyć należy indywidualne osiągnięcia, które by przyniosło komuś (poza dziedziną kultury) dobrze zasłużony rozgłos. W miarę komplikowania się życia na naszym globie i burzliwego rozwoju techniki, miejsce jednostki zajmują zespoły twórcze, nie- rzadko wspomagane „myślącymi maszynami”.

Taki kolektyw powołano w PZNF doraźnie przed rokiem. Lato 1961 nasunęło bowiem ludziom z „Fosforów” myśl, aby — wobec fiaska starań o nowe fundusze inwestycyjne — doprowadzić bez tych środków do zwiększenia produkcji kwasu fosforowego o jedną trzecią. To jest ten „szlagier”.

— To jest problem do rozwiązania — tak brzmiała odpowiedź ludzi, których dyrektor Szulc powołał w skład zespołu: naczelnego inżyniera — Aleksandra Choroszyńskiego, głównego technologa — mgr. Bogdana Zawadzkiego, głównego mechanika — inż. Józefa Piątkowskiego i kierownika bezpośrednio zainteresowanego oddziału — mgr. Bogumiła Perzyńskiego.

Dokończenie na str. 2

*) W stosunku do r. 1938.

Maciej Olszewski

TAJEMNICA DOWÓDZTWA



Jednym z głównych bohaterów kulturowanej w NRF legendy o antyhitlerowskiej działalności i walce czołowych ludzi Wehrmachtu, jest szef Abwehry (kontrwywiadu wojskowego), admirał Canaris. W rzeczywistości jednak Canaris od innych mniej dalekowzrocznych pracowników Abwehry odróżniało tylko to, że zdając sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństw, jakimi groziła przegrana wojna prowadzona nie tylko przeciwko bolszewickiemu wschodowi, lecz także kapitalistycznym mocarstwom zachodu, starał się wyrobić przez kontakty z wywiadem brytyjskim i amerykańskim, alibi dla powojennej „Czwartej Rzeszy”. Nie przeszkadzało mu to jednak — a nawet czasami ułatwiało — w kierowaniu bezwzględna walką Abwehry przeciwko jakiegokolwiek działalności wymierzonej w zaangażowaną wszystkimi swymi siłami na froncie wschodnim machinę militarną imperium hitlerowskiego.

Wątpliwy sukces

Dlatego właśnie, tak energicznie — od czerwca 1941 roku do sierpnia 1942 roku — canarisowska Abwehra dążyła do rozwiązania tajemnicy „Rote Kapelle”. Dlatego też po osiągnięciu sukcesu, przekazała działaczy tej — kierowanej przez Schultze-Boysena i Harnacka — organizacji niemieckiego podziemia antyfaszystowskiego, w ręce Gestapo.

Ale ów sukces nie przyniósł Abwehrze laurów. Wczesną jesienią 1942 roku uwięziono z górą 600 ludzi, wśród których, obok dawno poszukiwanych już komunistów, znaleźli się wyżsi urzędnicy hitlerowskiej machiny militarnej obdarzeni do tego czasu bezgranicznym zaufaniem brunatnych władców. Ale ujawnienie tego faktu ściągnęło na Abwehrę gniew coraz bardziej podejrzliwego Fuehrera. Ponadto wielomiesięczna działalność wywiadowcza „Rote Kapelle” na rzecz Armii Radzieckiej, prowadzona pod bokiem Abwehry, kosztowała Wehrmacht straty obliczane przez samego Canarisa jako równoznaczne armii liczącej 350 tys. żołnierzy. Wreszcie — choć nawet ujęto całe kierownictwo owej organizacji — wciąż jeszcze nie udało się zlikwidować wszystkich jej komórek. Nadal więc rozbrzmiewały w eterze krótkofalówki „czarowych muzykantów”, a tym samym „przeciekali” ponad frontem cenne dla obrońców Stalingradu wiadomości. Nadal ukazywały się ulotki „Rote Kapelle”, wzywające do walki z reżimem hitlerowskim, do działalności przeciwko „tysiącletniej Rzeszy”.

Pierwszy proces

Tymczasem dobiegało kresu brunatne śledztwo przeciwko uwięzionym. Na polecenie żywo interesującego się jego wynikami Hitlera, wszyscy oni mieli być ukarani z bezwzględna surowością. Zarazem jednak, by zapobiec przeniknięciu wiadomości o istnieniu i działalności tak potężnej organizacji niemieckich antyhitlerowców, cała sprawa została zakwalifikowana jako „Geheime Kommandosache” (tajemnica Dowództwa) i miała być rozpatrywana w wielu procesach, prowadzonych w różnych miastach przeciwko niewielkim grupkom — od 6 do 13 — oskarżonych.

Na 15 grudnia 1942 roku wyznaczono termin pierwszego procesu przeciwko grupie przywódców organizacji. Przed Sądem Wojennym Rzeszy w Berlinie-Charlottenburgu mieli stanąć: pracownik wydziału planowania operacyjnego ministerstwa lotnictwa, por. Harro Schulze-Boysen, dyrektor ministerstwa gospodarki Rzeszy, dr Arvid Harnack, ich żony — pisarka Libertas Schulze-Boysen i pracownik ministerstwa propagandy Mildreda Harnack, działacze podziemnej KPD — Horst Heilmann, Kurt Schultze, Hans Coppi, Curt Schumacher i jego żona Elisabeth, dziennikarz John Graudeniz oraz pracownicy hitlerowskiego MSZ — Rudolf Scheliha i jego sekretarka — z zawodu dziennikarka — Ilse Stoebe.

Dopiero w przeddzień procesu adwokaci wyznaczeni na obrońców z urzędu, mogli przeglądać akta sprawy. Więźniowie mieli okazję poznać swych obrońców na pięć minut przed rozpoczęciem rozprawy. Akt oskarżenia dopiero usłyszeli z ust przewodniczącego trybunału...

Oskarżający oskarżeni

W trzecim dniu procesu wygłasza swoje ostatnie słowo Arvid Harnack. Jego 20-minutowe wystąpienie jest w gruncie rzeczy płomienną mową oskarżycielską, skierowaną przeciwko hitleryzmowi. Dobitnie też wykazuje, że jedynie walka, jaką podjął wraz ze swymi towarzyszami, może jeszcze uratować Niemcy od katastrofy, ku której popchnął je hitlerizm i zrehabilitować naród niemiecki w oczach ludzkości. Z dumą potwierdza, że odcinkami tej walki była działalność wywiadowcza na korzyść Armii Radzieckiej, budzenie wśród wszystkich uczciwych Niemców ducha oporu przeciwko faszyzmowi, nade wszystko zaś prowadzenie pracy przygotowawczej do obalenia środków rewolucyjnymi, w myśl wskazań Lenina zawartych w pracy „Państwo a rewolucja” — reżimu Trzeciej Rzeszy.

„Nie oczekujcie więc — kończy — że usłyszycie słowa skruchy. Niczego nie żałuję. Umrę jak przystało na świadomego komunistę!”

Na sali panuje przez dłuższą chwilę absolutna cisza. Sędziowie są skonsternowani i zawiązani. Nie ulega wątpliwości, że nie będą mogli zgodnie z wolą Fuehrera wykonać w uzasadnieniu wyroku, jakoby sądził grupę płatnych szpiegów, działających na szkodę własnego narodu.

Kiedy więc z kolei zaczyna wygłaszać swe ostatnie słowo Schulze-Boysen i już w pierwszych zdaniach przypomina jak bankruci, mogący utrzymać się tylko przy pomocy najstraszliwszego terroru, jest reżim hitlerowski, kiedy wznosząc swoje pomiażdżone dłonie oskarża aparat „sprawiedliwości” III Rzeszy o stosowanie średniowiecznych metod — rozwieszony przewodniczący trybunału przerywa w połowie zdania... Ostatniego słowa dla pozostałych podsądnych nie będzie!

Nie złamiecie nas!

Następnego dnia zapada wyrok. Jedenastu oskarżonych zostaje skazanych na karę śmierci, zaś Mildreda Harnack i Erika von Brockdorff na karę po sześć lat więzienia. Wszyscy skazani wysłuchują tego wyroku, podawszy sobie bratersko ręce. Zachowują kamienny spokój. Dopiero kiedy jeden z gestapowców zakłada kajdanki na ręce Elisabeth Schumacher, rozlega się jej donośny głos: „Nie złamacie nas!”

Echa procesu docierają do cel, w których przebywają pozostali członkowie „Czerwonej Kapeli”. Jeden z komisarzy, przesłuchujący Heinricha Schaeja, oświadcza podekscytowany: „Takiego procesu jak wasz, jeszcze przed Sądem Wojennym Rzeszy nie było!”

Tego samego dnia Hitler wydaje rozkaz: wszystkich skazanych bez względu na to czy byli wojskowymi czy nie — stracić przez powieszenie, przeciwko dwóm kobietom skazanym tylko na karę więzienia — wznowić przewód sądowy; muszą być koniecznie skazane na śmierć.

Rozkaz został wypełniony. Rankiem 20 grudnia jedenastu skazańców przewieziono do więzienia Berlin-Plötzensee i tam o godzinie 20 str-

ONI OCALILI PRZEMYSŁ

Dokończenie ze str. 1

Z chwilą wyzwolenia, rewolucyjna część klasy robotniczej, nie czekając na podpisanie umowy o pracę, zjawiała się natychmiast w wielu fabrykach i z własnej inicjatywy, przed przybyciem pełnomocników rządu, przystąpiła do zabezpieczenia mienia przedsiębiorstw przemysłowych, lub też, jak to często było w Poznaniu, gasiła pożary i ratowała swoje warsztaty przed zupełnym zniszczeniem. Np. robotnicy Zakładów Cegielskiego już następnego dnia po ucieczce niemieckiej administracji, tj. 21 stycznia:

„...zaczeli pojedynczo przedstawiać się na teren fabryki... dla zabezpieczenia jej od grabieży, która rozpoczęła się w mieście. Pierwsze te kroki, zmierzające do ochrony tak potrzebnego dla kraju warsztatu pracy przez pracowników, omalże nie skończyły się tragicznie. Po południu bowiem nadjechało gestapo i tylko dzięki zbiegowi okoliczności pracownicy cało opuścili teren fabryki. Po zajęciu Łazarza i Wildy przez wojska radzieckie i przesunięciu się frontu w kierunku centrum miasta, pracownicy powtórnie zaczęli zbierać się w oswobodzonej fabryce”.

Jako pierwsi zjawili się w Zakładach Cegielskiego pracownicy elektrycy, którzy już 5 lutego podjęli pracę wokół jej uruchomienia. Pracując po 12 godzin na dobę i więcej, nie pytając, kto im będzie za to płacił, pracownicy ci puszczili elektrownię w ruch, dając miastu prąd jeszcze przed zakończeniem działań wojennych w Poznaniu. Z dużą ofiarnością uczestniczyli też w zabezpieczeniu swojego zakładu pracy kolejarze, którzy uratowali od doszczętnego spalenia poznańskie warsztaty kolejowe i następnie — nie czekając na ukończenie działań wojennych — uruchomili transport, przyczyniając się w ten sposób do ożywienia gospodarczego kraju i szybszego zakończenia wojny. Jeszcze przed zakończeniem działań do zabezpieczenia swojego przedsiębiorstwa przystąpiła również grupa starych pracowników „Stomila”. Po przybyciu do zakładu w dniu 19 lutego uuprządkowali oni zrujnowane ewakuacją urządzenia fabryczne i zabezpieczyli resztki zapasów surowca, umożliwiając w ten sposób wcześniejsze uruchomienie produkcji.

Ta postawa klasy robotniczej stanowiła piękną kartę w dziejach poznańskiego ruchu robotniczego i jego wkład w unarodowienie przemysłu w Polsce.

*

Po wstępnym zabezpieczeniu obiektów przemysłowych i ustanowieniu tymczasowych zarządów poszczególnych fabryk, przed grupą operacyjną i klasą robotniczą na czele z PPR, stało zadanie uruchomienia przemysłu.

Możliwie rychłe podjęcie produkcji było niezwykle ważne, tak ze względu na pilne potrzeby zniszczonego i ograbionego przez okupanta kraju, jak i z uwagi na ciężące na przemyśle polskim obowiązki zaopatrywania walczących w dalszym ciągu na frontach armii; nie bez znaczenia był też wzgląd na potrzebę szybkiej stabilizacji nowej władzy i umocnienie jej autorytetu.

FRANCISZEK ŁOZOWSKI

cono. Umierali jak bohaterowie. Mildredę von Harnack stracono 23 lutego, zaś Erikę von Brockdorff 13 maja 1943 roku.

Pośród wszystkich działaczy „Rote Kapelle” doczekało się 1945 roku zaledwie kilkunastu. Po dziś dzień znaleziono jednak tylko akta rozpraw zawierające 75 wyroków śmierci. Zaważyło na tym polecenie Hitlera, by całą sprawę traktować jako „Geheime Kommandosache”.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalały jednak pożegnalne listy niektórych straconych. Świadczą one o ich wielkim patriotyzmie, o żarliwości ideowej i wierze w zwycięstwo sprawy, za którą ginęli, o głębokim humanitaryzmie.

Pisał więc w celi śmierci więźnia w Plötzensee Arvid Harnack: „Przed wszystkim jednak myślę o tym, że zwycięży ludzkość. Oto źródło siły”. A Harro Schulze-Boysen stwierdzał: „Choć mamy umrzeć, wiemy: ziarno rzucone przez nas weździe!”

W roku 1949 powstała Niemiecka Republika Demokratyczna — państwo demokratycznych sił narodu niemieckiego, które swoją polityką sojuszu z siłami antyimperialistycznymi całego świata, swoją konsekwentną walką przeciwko spadkobiercom Trzeciej Rzeszy dokumentuje, że ziarno rzucone przez „Rote Kapelle” wzięło i wydaje już owoce.

Marian Jaśkowski

Daleko od przyjaźni

Nastroje antyniemieckie w USA

Od kilku lat daje się zauważyć w Stanach Zjednoczonych wzrost nastrojów antyzachodnoniemieckich. A przecież właśnie w okresie narastania kryzysu w sprawach Berlina zachodniego i Niemiec, Zachód powinien być więcej aniżeli kiedykolwiek zespólny, co najmniej dwaj zblokowani współpartnerzy, jakimi są na pewno Stany Zjednoczone i NRF. Tymczasem „wielka przyjaźń” zachodnoniemiecko-amerykańska ujawnia rysy.

Głównym powodem nasilenia się antyniemieckich prądów w opinii amerykańskiej są wydarzenia o zasięgu międzynarodowym, których stany zapalne wywodzą się z podłoża doktrynalnej polityki Niemiec za chodnich, przede wszystkim wobec Berlina zachodniego. Od chwili, gdy kryzys berliński osiągnął swe szczytowe nasilenie (po 13 sierpnia 1961 roku), społeczeństwo amerykańskie otworzyły się nagle oczy: czy trzeba będzie znowu umierać, walcząc o Berlin? I wbrew testom dostarczającym przez amerykańskie instytucje badania opinii publicznej (np. Gallupa), według których większość ankietowanych byłaby skłonna bronić sprawy Berlina zachodniego z orężem w ręku, ogólne nastroje ludzi spoza oceanu, nie potwierdzają takiej tezy.

W NRF zjawily się tendencje — zresztą nie od dzisiaj żywe — do nawiązania bezpośrednich rokowań ze Związkiem Radzieckim, tym bardziej że memoriał ZSRR z dnia 27. 12. 1961 r. skierowany do rządu amerykańskiego stwarza po temu realne możliwości. Jednocześnie przysgasy nastroje pełne ufności w gotowość

Stanów Zjednoczonych do bezwzględnej poparcia interesów NRF. Objawy tej nieufności nie uszły uwadze czynników waszyngtońskich, które od tego momentu zaczynają patrzeć na swego europejskiego partnera z większą dozą rezerwy.

Dowody ostrożnej rezerwy sięgają zresztą swymi korzeniami do okresu wcześniejszego; mianowicie do momentu objęcia rządów przez administrację prezydenta Kennedy'ego. Zarówno nowy prezydent, jak i jego team roboczy (doradcy — intelektualiści) są realistami-pragmatykami a „intronizacyjne” przemówienie nowego prezydenta, oparte na programie długofalowych koncepcji politycznych, nie pozostawiało żadnych złudzeń, jakie w przyszłości wyznaczone będzie miejsce dla NRF.

W tym stanie rzeczy, nie do pomysłienia było od początku kadencji prez. Kennedy'ego, aby rząd amerykański nawiązał do tradycyjnej, dulusowskiej przyjaźni, w której — jak mawiano w owym czasie — zmiały min. spraw zagranicznych USA powierzył Adenauerowi faktyczne prawo weta w sprawach europejskich. Co gorzej dla NRF: Adenauer nie posiadał kredytu w Stanach Zjednoczonych. Jest zbyt stary i po prostu u schyłku swej kariery; nie potrafi, czy nie wypada mu uelastyczyć swej polityki, szczególnie w odniesieniu do ZSRR, NRD, Czechosłowacji i Polski.

Sprzeczności między obu partnerami przybiera coraz więcej. Dostarcza ich m. in. wyłaniająca się na horyzoncie Europejskiej Wspólnoty, w której Niemcy Zachodnie od

Dokończenie na str. 4

L - jak LUBOŃ

Dokończenie ze str. 1

„Budapesti Vegyiművek” nazywa się węgierski zakład, z którym PZNF pozostaje w stałych kontaktach. Bywali tam inżynierowie Szulc i Piątkowski. Ustalono w końcu — nie tylko w oparciu o to, co tam widziano — generalną wytyczną: do tymczasową periodyczną metodę produkcji kwasu fosforowego zastąpić metodą ciągłą. Dyrektywa brzmiała jasno, ale szczegółowe jej opracowanie — to było zadanie dla wielu ludzi na wiele miesięcy. A tu równocześnie zwała się na barki kierowniczego zespołu sprawa uruchomienia nowego oddziału produkcji superfosfatu.

Reporter pyta o trudności. — Trudności? — magister Zawadzki jakby się zastanawiał. — Nie było. Brakowało tylko czasu.

Włożyli w to przedsięwzięcie piekielnie dużo — niezależnie od trafnej koncepcji — ambicji i wysiłku. Bywało, że śleczeli w zakładzie po 10 — 15 — 20 godzin na dobę. Zakładowe Biuro Konstrukcyjne opracowało dokumentację. Teraz, w lipcu, w czasie postępu fabryki, Dział Głównego Mechanika i warsztaty zakładowe wraz z ekipą specjalistycznego przedsiębiorstwa montażowego — muszą dokonać zamierzonej przebudowy. Jej istota da się zamknąć w jednym zdaniu: idzie o to, aby zamiast napełniać reaktory do produkcji kwasu fosforowego periodycznie, czekając, aż zakończy się w nich chemiczny proces — umożliwić podawanie surowca w sposób nieprzerwany.

Wydaje się to śmiesznie proste, dopóki nie zobaczymy całej aparatury. Tutaj było nad czym myśleć

i nad czym kombinować. Tutaj za kilka tygodni inżynier Szulc i S-ka będą, nie bez napięcia nerwowego, sprawdzali, w jakim stopniu rzuconą przez nich myśl daje praktyczne owoce.

„Fosfory” podjęły także współpracę z tarnobrzeską „Siarą”. Szare zwały keku — odpadu z procesu rafinacji „złotego złota” — zalegają tereny PZNF. Kek spżytkowywany jest w niektórych procesach produkcyjnych. Lada rok więcej, łączące Luboń z Tarnobrzegiem, ulegną zacieśnieniu w oparciu o patent numer 43.660. Ten patent to życiowe osiągnięcie magistra Zawadzkiego. Będziemy produkowali w kraju aluminium. Do produkcji aluminium niezbędne są pewne związki fluorowe, przede wszystkim — kriolit. Kriolit zaczniemy wytwarzać w Tarnobrzegu, aby niezależnie się od zagranicy. Jak go produkować — oto istota patentu magistra Zawadzkiego. Ścisłej: patent dotyczy otrzymywania fluorokrzemianu amonu, surowca do produkcji kriolitu.

Co krok ma się do czynienia w „Fosforach” z dobrym pomysłem. Słynna sprawa posyłania w niebo dwu ton pyłu nawozowego dziennie — przechodzi do historii.

— Jeszcze w tym roku założymy urządzenia, które zlikwidują zapylenie zakładu i okolicy. Zysk zdrowotny — spory, a finansowy — 1600 złotych dziennie.

Potem mój rozmówca poznaje mnie z cechami doświadczalnie wyprodukowanego w tym roku przez PZNF superfosfatu granulowanego borowanego. (chodzi po prostu o dodatek boru). 5000 ton nowego nawozu mineralnego wysiano tej wiosny pod buraki, na których cukrowość ma mieć, wedle zapewnień IUNG-u**), niemalże wpływ.

Nie czuję się już na siłach zgłębiać tajników rewelacyjnej technologii produkcji masy kontaktowej, potrzebnej przy wytwarzaniu kwasu siarkowego metodą kontaktową. To sukces doktora J. Wesołowskiego. Wierzę na słowo, że dzięki temu oszczędzimy sporo dewiz, asygnowanych dotychczas na zakup owej masy poza granicami kraju. I, co więcej, opuszczam „Fosfory” przeświadczony głęboko, że tamtejsze zespoły twórcze mogą się pochwalić jeszcze szeregiem podobnych osiągnięć.

Jak to udatnie określiła „Polityka”: złote szare komórki.

PIOTR ŻYCKI

**) Instytut Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa.

Sezon teatralny minął. Pora na jego ocenę i wnioski. Zajmie my się tu jedynie placówkami teatralnymi, pozostającymi w sferze zainteresowań Wydziału Kultury Prezydium WRN, a więc tymi, które działają przede wszystkim na terenie województwa.

Chodzi więc o teatry gnieźnieński i kaliski oraz zespoły Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych zwanego popularnie „Estradą” (tu m. in. Teatr Satyry i teatralny zespół objazdowy). Oba teatry terenowe na ogół wykonały w ub. sezonie plany repertuarowe, natomiast zabrakło dość dużo do wykonania liczby zaplanowanych przedstawień i liczby widzów (oba te plany wykonano mniej więcej w 80 procentach). W Gnieźnie zapewne zawążył na takim wykonaniu przedłużający się remont teatru, w Kaliszu natomiast nadrabiano braki frekwencji częstszymi wyjazdami do małych miejscowości i w tej dziedzinie plany znacznie przekroczone.

W „Estradzie” najsłabiej wypadł Teatr Satyry, który zresztą wśród wszystkich teatrów notuje najniższą frekwencję widzów.

To też m. in. poważnie przyczyniło się do decyzji rozwiązania tego teatru z końcem obecnego sezonu. Objazdowy teatr „Estrady” dał dużo przedstawień z dobrą frekwencją. Najlepiej jednak, bo w 120 proc. wykonała „Estrada” tzw. usługi w postaci dostarczania programu artystycznego na rozmaite imprezy okolicznościowe, szkolne, masowe, w zakładach pracy, w zakładach gastronomicznych itp. W tej dziedzinie z pewnością planowano zbyt ostrożnie.

Niewątpliwym wydarzeniem były w ub. sezonie II Kaliskie Spotkania Teatralne, które cieszyły się dużą frekwencją społeczeństwa kaliskiego, dały okazję do poczynienia pożytecznych konfrontacji i były ze wszech miar imprezą udaną. Z tego też względu zadecydowano o odbyciu III Spotkań w najbliższym sezonie, a Wydział Kultury Prezydium WRN zabezpieczył już na ten cel odpowiednie kwoty.

Czego możemy oczekiwać w nadchodzącym sezonie? Utratę Teatru Satyry ma zrekompensować projektowane utworzenie w Poznaniu sceny kameralnej pod nazwą „Scena 1962”. Teatr ten miałby inny charakter, nieco eksperymentalny, zapoznawałby z najnowszym repertuarem polskim, a być może i światowym. Przewiduje się ok. 8 premier rocznie i występy w każdy poniedziałek na scenie „Marcinka”. Nota bene poniedziałek nie wydaje się dniem zbyt szczęśliwie wybranym, publiczność nie jest przyzwyczajona do seansów w tym dniu.

Mieczysław Skąpski

POSEZONOWE REFLEKSJE TEATRALNE

czajona do uczęszczania w tym dniu do przybytków Melpomeny.

„Estrada” zamierza swój zespół objazdowy nazwać „Teatrem Rozmaitości”, słusznie chyba twierdząc, że anonimowy niejako zespół PPIE nie sprzyja przyciągnięciu widza. Jednakże nazwa wprost nawiązująca do słynnego teatru Osterwy wydaje się obiecywać zbyt wiele. Byłoby chyba lepiej wymyślić jakieś nowe, własne nazwanie tego teatru.

Spodziewamy się po nim niemało, zwłaszcza, że — jak zapewniła „Estrada” — wreszcie skompletowano zespół składający się wyłącznie z

gdy np. teatr kaliski przewiduje tylko 2 polskie sztuki współczesne z czego jedną niewiadomą (ma być wybrana z konkursu rozpisanego w Bydgoszczy — rozwiązanie na początku lipca), a teatr gnieźnieński nie przewiduje żadnej radzieckiej. Nie ma też w planie polskiej sztuki współczesnej teatr „Estrady”.

W nowym sezonie teatralnym zespoły objazdowe teatrów, o których tu mowa powinny jednak więcej zainteresować się małymi ośrodkami, jak wsie i miasteczka. Trudno się zgodzić, aby te ośrodki miały być wyłącznie obsługiwane przez teatr „Estrady”.

Po pierwsze dlatego, że „Estrada” przecież nie obejmuje wszystkich a nawet tylko

niewielką część, a po drugie — nie można widom w tych ośrodkach odmawiać prawa do dokonywania konfrontacji rozmaitych zespołów. Jeśli już mowa o konfrontacjach wydaje się, że wobec faktu postawienia teatru „Estrady” na mocnych nogach (myślimy o kwalifikacjach aktorskich zespołu) warto pomyśleć o ewentualnym udziale tego zespołu w III Spotkaniach Kaliskich. Ponadto gdy już „Estrada” otrzymała rolę przy ul. Masztalarskiej byłoby pożyteczne przewidzieć stałą wymianę teatru „Estrady” z teatrami Kalisza i Gniezna. Wtedy i widz poznański miałby okazję do ciekawych konfrontacji.

Ciągle wreszcie nie traci na aktualności problem przyciągania do teatru widza ze środowiska robotniczego. Teatry mają za mało kontaktów z zakładami pracy, za mało spotkań aktorów z robotnikami. Dokonywano wprawdzie i tu pożytecznych akcji, jak np. tak udana penetracja teatru Aniszczuki w Marantowie, w nowym okręgu przemysłowym Konin, wszystko to jednak nie jest jeszcze na miarę potrzeb. Miejmy nadzieję, że i tu nowy sezon teatralny przyniesie pożądane zmiany.

Baedeker poetycki Koszalin

Koszalin jest jedynym miastem na całym polskim zachodzie i północy, które nie ma jeszcze dołączył własnego oddziału ZLP. Ma jednakże to miasto to, czego może mu pozbawić wiele innych ośrodków, mianowicie dwie bardzo wyraźnie określone już osobowości poetyckie: Marię Aluchną-Emelianow, poetkę starszego pokolenia oraz Czesława Kuriatę, reprezentanta pokolenia najmłodszego.

Koszalin prezentuje się dołączył dwoma almanachami oraz dwoma zbiorami indywidualnymi wierszy wspomnianych wyżej poetów.

Almanachy, mimo iż pokazują szereg nowych nazwisk, nie przedstawiają większej wartości. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że dopiero własne tomiuki ukazały we właściwym wymiarze twórczość Emelianow i Kuriatę. Toteż almanach „Morski naszyjnik” dał zaledwie wizerunki czterech liczących się autorów: Aluchny-Emelianow, Kuriatę, Tadeusza Sokoła i prozaika Zbigniewa Kiwki. Natomiast następny almanach, „Próba liryki”, podobną wizerunkową jeszcze jednego autora, Stanisława Misakowskiego.

Eugeniusz Hajduk ogranicza się bowiem do zanotowania szlambuchowych uczuć, które stara się ująć w modny dziś sposób, ale nie umie przekonać, że ograniczenie liczby słów to skrót jakiejś głębszej myśli. Jego „skrót myślowy” sprawiają więc wrażenie dziwogłów: „czuję zapach krwi w liściach”, „oczy peczę nienawiścią”, „pióra zraniły mój czas” itd.

Podobnie „uproszczonymi” zdaniem posługuje się w swoich wierszach Anatoliusz Jurek, na przykład: „Zwiedniony żyznych bieder po wypełnieniu dni”, „Rozsłoneczniona pora deszczu”, „Łapa chmury niech nie zaciska się”, „Rozmieniałem na kalorie konwale jak soczysie główki kapusty” itp.

W tym samym almanachu — w wierszach Zbigniewa Kiwki — znajdujemy: „śmiech markizów zblazujących kręgi szersze od niknięcia”, „bezradność obnaża do koloru skóry”, „odchodzimy w ciemność zapładniającą pod każdym księżycem”. Że to nabyła maniera, dowodzi najlepiej początek wiersza Kiwki, zażyłowanego „Róże od prezydenta”, dedykowanego Matce:

Stoisz w obłokach Magellana między garnkami jak wśród startujących rakiet

Na fle wielostawia i niekontrolowanej manierysty zdania wzbudza zaufanie dyscyplina terminologii, dojrzałość i lapidarność, zademonstrowane przez Stanisława Misakowskiego. Jest u niego dystans wobec zjawisk współczesnych, pojawiają się nuty polemiczne, ironizujące z „młodych salomonów” prowincjonalnych, przelewających z pustego w próżne. Poświadczają to także wiersze Misakowskiego, jak zaczynający się od słów „Jest w moim sercu”, „Odejszcie”, „Rozstrzelany”, „Myśl”, „W małym miasteczku”.

Ambitniejsze próby dają się również dostrzec w wierszach Tadeusza Pawlika. Nie przyniosły one jeszcze zadowalających rezultatów — przeszkadza mu przyswojone prefabrykaty myśli, nie udaje mu się pojąć, lecz nie uległ on przynajmniej złej manierze językowej.

Starsze pokolenie poetów Koszalina reprezentuje Maria Aluchna-Emelianow. Jej wiersze odznaczają się ogromną wrażliwością na sprawy odczuwającego świata, niezwykle uczuciowo i szczerze przeżywane. Ostatnio wydany w „Czytelniku” tom wierszy tej autorki, „Szukanie kształtu”, należy na pewno do ciekawych zjawisk nie tylko w zachodniej Polsce, ale w ogóle w kraju.

Tom ten, utrzymany w jednolitej konwencji stylistycznej, w konwencji poetyzowania, jest swoistego rodzaju polemiką poetki z dzisiejszymi poszukiwaniami poetyckimi. Głównym tematem wierszy Emelianow jest jakby rozmowa z sobą, bądź z bliską i kochaną osobą, utrzymana w tonie pogodnym, ciepłym, w „kolorze nadziei”.

Swoją subtelnością i przemilczeniami wiersze Aluchny-Emelianow mówią niezwykle wiele o świecie przeżył poeiki, o jej życiu, nie nazbyt obfitym w wydarzenia, ale i jakże atrakcyjnym w przygody intelektualne, w zamyslenia i pogodne smutki. Tomik Emelianow „Szukanie kształtu” może być zarazem dowodem, potwierdzającym dość wyraźnie zarysowującą się w najnowszej poezji arkadyjskie sielankopisarstwo.

Wreszcie jeden z najmłodszych poetów Koszalina, wielokrotny laureat, Czesław Kuriata. Recenzując jego tomik „Niebo zrównane z ziemią”, Bogdan Ostromecki pisał w „Twórczości” o wpływie poetki Juliana Przybosa na twórczość Kuriatę. Dostrzegł jednak i bardziej autentyczne źródła jego poezji. „Liryka ta — pisał Ostromecki — wyrasta z konkretnych obrazów, z sytuacji przeżytych i doświadczonych, ale jest ich poetyckim przeniesieniem w inny wymiar”.

Owymi konkretnymi obrazami, które zdobywają z punktu sympatii dla Czesława Kuriatę, są jego doświadczenia dzieciństwa, spędzonego na wsi.

Kuriata niewątpliwie w sposób najbardziej twórczy wykorzystał w poezji swoje pochodzenie. Poprzez swój kompleks chłopski — „Ja w każdym calu chłopski” — spojrzął na życie w mieście. Toteż w zbiorze Kuriatę znalazł się drugi problem jego literackiej biografii, konflikt jednostki ze zbiorowością. Autor „Nieba zrównanego z ziemią” z miejsca zwrócił na siebie uwagę swoją odrębnością, dojrzałością, ambicjami i umiejętnością nawiązania wspólnego języka z głównym nurtem poezji polskiej.

Czytałem niedawno, że młodzi pisarze wydają zwykle najlepsze swoje pierwsze książki, książki drugie i trzecie są ponoć gorsze. Ale spostrzeżenie to nie musi być regułą, nie musi dotyczyć drugiej książki Czesława Kuriatę, której oczekujemy z zaciekawieniem.

Feliks Fornalczyk

Sprostowanie

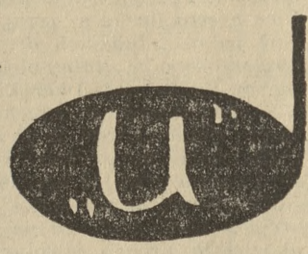
W ostatnim „Głosie Tygodnia” z dnia 15/16 lipca do artykułu pt. *Pasja wędrowca* zakradł się z winy kerekty błąd w zdaniu:

Czesław Białas jest rencistą. Podstawę jego utrzymania stanowi skromna renta (a nie jak błędnie umieszczono „kwesta”), uzupełniana honorariami za publikacje zamieszczane w Tygodniku Kulturalnym w Warszawie.

Za omyłkę przepraszamy zarówno Czytelników jak i p. Czesława Białasa.

Norbert Karaśkiewicz

Pionierzy spod Znaku



Kiedy siedem lat temu wyjechały na teren pierwszych ekipy artystyczne Filharmonii Poznańskiej, trzeba było użyć wielu argumentów, by inicjatywa ta mogła liczyć na powodzenie — „Mamy teatr — mówiono — film, imprezy sportowe... Muzyka wymaga znanstwa i niewielu znajduje się chętnych do słuchania Chopina czy Czajkowskiego”.

Tak było siedem lat temu, kiedy nasza inteligencja ze sceptycyzmem patrzyła na mnożenie się instytucji muzycznych, których działalność zaczynała powoli docierać do powiatu a nawet gromad wiejskich. I co wydaje się godne podkreślenia: im bardziej oddalono się od wielkich ośrodków, tym większe muzyka budziła zainteresowanie.

Inicjatywa ta przyjęła się jednak dzięki młodzieży, która od wielu lat jest wiernym i w terenie niemal jedynym słuchaczem tzw. audycji szkolnych. Wolna od uprzedzeń, jakimi kierują się dorośli, młodzież słucha wszystkiego, co podane jest w sposób ciekawy, żywy, działający na wyobraźnię. Kiedy starsi uważali, że w Wolsztynie czy Sulechowie można grać tylko Wieniawskiego czy Moniuszkę, Filharmonia Poznańska przekonała wszystkich, że nie ma podziału na sztukę dla województwa i powiatu, że właśnie w Sulechowie młodzież znakomicie odbiera Bacha, Mozarta, Chopina, Debussy'ego, Szymanowskiego czy Lutosławskiego.

Nie rezygnując z ambicji repertuarowych, nie rezygnowano też z atrakcyjności podania programu — i w tym należy szukać tajemnicy powodzenia działalności upowszechnieniowej FP. Duża w tym zasługa prelegentów: Urbanka, Sikorskiego, Szantruczka czy Kaźmierczaka, których pasja i wielkie rozmiłowanie w pracy pionierskiej łączy się z wiedzą i z dużym doświadczeniem. I oto zamiast nudnych, banalnych „składek” z popularnych utworów na śpiew, skrzypce czy fortepian, opracowywano niemal scenariusze „goziny muzyki” z odpowiednio wplecionym w temat tańcem, poezją i słowem wiążącym. Na wyobraźnię młodego słuchacza działa więc nastroj i emocja czysto dźwiękowa, wzbogacona doznaniem wizualnymi i obrazowymi, płynącymi z poezji. Nie więc dziwnego, że w opiniach bezpośrednio wypowiedzianych przez kierownictwo poszczególnych szkół powtarza się zdanie: „Koncerty organizowane przez Filharmonię Poznańską uczą młodzież nie tylko słuchania muzyki ale, co ważniejsze, wychowują ją estetycznie i budzą wrażliwość na wszelkie przejawy piękna”.

„Budzą wrażliwość” — to wydaje się największym komplementem pod adresem FP. Bo przecież celem takich koncertów szkolnych nie powinno być dostarczenie wiedzy encyklopedycznej i uczenie, kiedy urodził się albo umarł taki a taki kompozytor. Były to jeszcze jeden balast „wykutyh” na pamięć dat zupełnie nie przydatnych w krytycz-

nym i myślącym stosunku do życia. Tymczasem słuchacze poznańskich audycji szkolnych reagują na styl wykonywanej muzyki, znają jej różnorodność form i bogactwo doznań emocjonalnych. Świetnie też dostrzegają najmniejszy fałsz i obcość.

W czasie odbywającego się niedawno quizu młodzież ta pisała „na żywo” recenzje, oceniające upozorowaną „zią” a później dobrą grę dwóch pianistów. Dla tych, którzy sądzą, że w muzyce nie ma postępu i że za parę lat będą jeszcze chętni do słuchania kapel Dzierżanowskiego i nie upłyniętych na czas remanentów Poznańskiej Opery, przepisuję kilka fragmentów krytyki muzycznej naszych 16-latków:

— „Artysta wydaje się dzisiajszym wydaniem Paderewskiego. Podobnieństwo to podkreśla nie tylko fryzura a la „lew estradowy”, ale i liczne usterki techniczne — pomyłki. Jego przeciwnieństwem jest drugi pianista, nowoczesny w interpretacji i... stroju. W jego wykonaniu Prokofiew przekonuje, wierzymy, że jest kompozytorem z XX w.”

Fragment spod pióra innego „recenzenta”: „W grze pierwszego pianisty nie czuło się inteligencji, bez której muzyka wydaje się chaotyczna i przypadkowa. Dopiero drugi pianista swoją mądrą, przemyślaną grą zbliżył nas do piękna zawartego w dziele Prokofiewa”.

Za kilka lat z 16-latków tych będzie składała się większość naszych widzów. Już dzisiaj ich krytycyzm bywa bezwzględny. Byłem świadkiem, jak kilku z nich opuściło Operę w czasie „znecania” się nad pięknym i dobrze znanym dziełem Borodina — „Kniaź Igor”.

Działalność upowszechnieniowa Filharmonii ma na swoim koncie przeszło 7.000 koncertów i jest anonimowa. Wiemy, gdzie śpiewa i co śpiewa Polomski czy Gnatkowski, nie znamy nazwisk wielu bardzo dobrych a nawet rewelacyjnych — jak Włodzimierz Tomaszczuk — solistów, którzy są pionierami przyszłej wspaniałej polskiej kultury muzycznej. Wymienię przede wszyst-

kim, tak zasłużoną w tej działalności i przedwcześnie zmarłą Franciszkę Kielasińską i wielu innych, jak Józef Walczak, Marta Jankowska, Regina Feyerherm, Bolesław Matuszak, Mieczysława Łączna, Alicja Dutkiewicz, Franciszek Woźniak, Krystyna Kujawa czy Sonia Manthey. Solistami tych koncertów byli też znakomici muzycy orkiestry Filharmonii Poznańskiej oraz utalentowani absolwenci i dyplomanci PWSM.

*

Jest w tej działalności materiał do wielu pasjonujących reportaży i artykułów. Ja kończę na kilku tylko — wydaje się — ważnych wnioskach. Koncerty szkolne zdobyły sobie wielką popularność wśród młodzieży i grona pedagogicznego. Są wielkim wydarzeniem dla szkół izolowanych od życia kulturalnego, jak Technikum Rolnicze w Starym Tomysku czy Trzecie pod Opalenicą. Subwencjonowane częściowo przez Ministerstwo Kultury i Sztuki (ostatnio po decentralizacji przez Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej) obejmują tylko część uczelni średnich i zawodowych. Czy nie należałoby wprowadzić ich do wszystkich szkół stopnia podstawowego i średniego, łącznie z pionem szkolnictwa zawodowego?

Drugi wniosek dotyczy samego problemu upowszechnienia muzyki. Wiem, jak wielkie fundusze przeznaczyły na ten cel różne organizacje, a przede wszystkim Związki Zawodowe. Jednocześnie w sposobie upowszechniania obserwujemy wielką niefrasobliwość i niepotrzebną rozrzutność pieniędzy. Jedynie Filharmonie w Polsce wypracowały na we, postępowe i sprawdzone w działaniu metody umuzykalnienia. Czy istniałaby możliwość koordynacji ruchu upowszechnieniowego i w zakresie muzyki „oddania się” pod artystyczny patronat Filharmonii?

W każdym razie wszystkim związanym z zaangażowaniem w popularyzację muzyki polecam bliższe zapoznanie się z pracą tzw. Działu „U” Filharmonii Poznańskiej.

Janusz Biniek

Komu Indianina?



Nowy film Konrada Nałęczkiego pt. „I ty zostaniesz Indianinem” uzupełnia dwie dotkliwe luki tematyczne, wychodzi bowiem naprzeciw potrzebom rozrywkowego filmu sensacyjnego, a ponadto jest filmem przeznaczonym głównie, a może nawet wyłącznie dla młodzieży. Powyższe przepisałem sobie z Filmowego Serwisu Prasowego i zadumałem się. Najbardziej nad tym „może”, które kojarzyło mi się nieco ze znanym wierszem Gałczyńskiego: „Cóż, każdy pisze, jak może...”. Biedni, niestety, nowy film Konrada Nałęczkiego uzupełnia owe dwie luki zupełnie pozornie.

Na pytanie, jak trzeba pisać dla młodzieży, Gorki kiedyś odpowiedział: „tak samo, jak dla dorosłych, tylko lepiej”. Jestem przekonany, że w pewnym sensie można to samo powiedzieć o filmach. Zaryzykuję taką parafrazę: dla młodzieży trzeba kreślić takie filmy, które traktują widza zupełnie serio, nawet wtedy, kiedy będzie to bajka, czy nieprawdopodobne przygody w stylu „Znaku Zorro”. Natomiast wszelkie umowności, przymuszanie oka do widza, ustawiczne akcentowanie, że to, co widzimy na ekranie, dzieje się tylko „na niby” — może dać satysfakcję widzowi wyrobionemu, a więc dorosłemu.

„Indianin” Nałęczkiego jest właśnie takim filmem. Jego akcja została umiejscowiona wprawdzie w realnych konkretach współczesnej Warszawy, ale twór

cy filmu przez cały czas zaznacza, iż nie należy jej pojmować dosłownie, lecz w przenośni, właśnie „na niby”. Stąd komentarz, wygłaszany z ekranu bezpośrednio do widza.

Oczywiście, trudno sobie wyobrazić, by w Warszawie, Anno Domini 1962, kłusował po Alei Jerozolimskiej autentyczny Indianin na rączym koniku. W to nie wierzą nawet pierwszoklasisci. Rozumiem więc Nałęczkiego, że chciał — właśnie poprzez ciągłe akcentowanie umowności akcji — umotywować jakoś ten anachronizm. Obawiam się jednak, że wybrał wyjście najgorsze, po prostu dlatego, że nieprzydatne dla młodego widza, który przyjmie je nie jako zamierzony zamysł twórcy, lecz — po prostu — jako coś w rodzaju „lipy”. Wydaje się, że trzeba było najnormalniej w świecie zrezygnować z Indian i zrobić zwykły, uczciwy film przygodowo-kryminalny, bez Szalawskiego w piórpuszu wielkiego wodza na Nowym Świecie i bez statystów pokrzykujących groźnie swoje „hugh!” czy „jak tam, bo to wszystko kupy trzymać się nie chce i nie może.

Zresztą — nie tylko gatunek filmu okazał się niewypałem o niewłaściwym adresie. Odrzucając już całą „indianiskosc”, sama przygodowo-kryminalna warstwa filmu nie jest najlepszą próbą: akcja nie płynie gładko, gmat-

wana niepotrzebnie nawrotami w czasie, a i sam jej przebieg nie zawsze został dostatecznie logicznie umotywowany. Przykładem niedoświadczenia mogą być sceny w szkole: nauczycielka chce rozpocząć klasówkę, uczniowie mówią jej, że Mirek zaginał, nauczycielka stwierdza: „wobec tego zajmijmy się czym innym...” — i na tym scena się kończy, choć nie wiadomo, po co w ogóle się rozpoczęła. Takich scen można znaleźć więcej, a jednocześnie czuje się wyrwy, które utrudniają śledzenie akcji nawet dorosłemu widzowi, przyzwyczajonemu już do niejednego łamańca.

Zdarzają się też rzeczy niby drobne, ale dość istotne: rodzice Mirka raz mieszkają na którymś tam piętrze, w innej scenie znów Mirek wychodzi przez okno na ulicę. Młodzież jest na ogół bystrzejsza niż się dorosłym wydaje i szybko coś takiego zauważy: wie również, że Indianie raczej nie nosili tarczy, jak chciał scenograf i chyba kierownik magazynu pokrzyżkowych rekwizytów. Wątpię poza tym, czy wierzy w ową isle cudowną przemianę bandziora, który — pod wpływem moralnych nauk pięcioklasisty — przestaje pić wodę, by cały smak życia odnaleźć w surowych płatkach owsianych z zimnym mlekiem...

Luki, wspomniane na początku, pozostają więc dalej niewypelnione. Film jest dla młodzieży nieco za trudny w gatunku, dla dorosłych — za naiwny. A tak w ogóle — po prostu niewydarzony. Komu więc tego Indianina polecić? Szkoda, że na to pytanie nie odpowiedzieli sobie twórcy nieco wcześniej.

Daleko od przyjaźni

Dokończenie ze str. 2

grywają dominującą rolę, raz po raz demonstrując swą finansowo-gospodarczą siłę. Stany Zjednoczone nie mogą również zapomnieć rządowi bońskiemu usztywnionej pozycji w latach 1960/61, gdy Stany Zjednoczone znajdowały się w opresjach dewizowych, a bilansowi płatniczemu USA groziła katastrofa. Owcześnie rozmowom amerykańsko-zachodniomierickim dotyczącym efektywnej pomocy dla dolara amerykańskiego — towarzyszyły dramatyczne sceny. Lotnicze pielgrzymki Dillona, Andersona, Harrimana do progów bońskich, wytworzyły szczytną, której nie zakłajstrowały nawet późniejsze milionowe zakupy sprzętu wojennego dokonane przez min. Straussa w USA ani kilkumiliardowy aport NRF na pomoc dla krajów pod względem gospodarczym opóźnionych, która w geopolitycznych założeniach Kennedy'ego stanowi jego największe hobby.

Wreszcie degradacji w oczach Waszyngtonu uległ chadecki gabinet Adenauera na skutek wyniku ostatnich wyborów parlamentarnych w NRF. Utrata bezwzględnej większości głosów przez partię CDU w parlamencie bońskim i długotrwałe kunktatorskie rozmowy dotyczące

obsadzenia foteli ministerialnych, przypadki własnie na okres poszukiwania drogi do wszczęcia negocjacji ze Związkiem Radzieckim w sprawie Niemiec oraz Berlina zachodniego. Dodajmy do tego nieustępliwe stanowisko kanclerza Adenauera w rozmowach waszyngtońskich z prez. Kennedy'ym (w listopadzie 1961 r.) oraz kontrowersyjne i niekiedy szanujące wypowiedzi osobistości bońskich skierowane pod adresem USA włącznie z negatywnym berlińskim oświadczeniem Adenauera odnośnie wyniku rozmów Dobrynin — Rusk na temat Berlina zachodniego. To ostatnie wywołało prawdziwy wstrząs w Waszyngtonie.

Nie chyba nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie (co najmniej za kadencji Adenauera) wzajemne stosunki obu państw miały ulec zmianie. Jednak opisane tu elementy oziębienia się tych stosunków, nie powinny przesłonić oczu na istnienie faktycznej wspólnoty interesów, utwierdzonej wspólną wroga postawą obu państw wobec obozu socjalistycznego. Przykładem tego jest Pakt Północno-Atlantycki, który — jakby nie było — opiera się głównie na Stanach Zjednoczonych i NRF.

MARIAN JAŚKOWSKI

Eugeniusz Pauksza

Plon tygodnia

W moich przeglądach wartościowych nowości książkowych staram się zazwyczaj szeregować nowe wydawnictwa albo według pewnych kręgów tematycznych, albo na tle dorobku wybranych oficyn. W okresie letnim jest z tym nieco trudniej, książek ukazuje się nie tyle może mniej, ile większość z nich stanowią podręczniki lub lektury szkolne. Najbliższe więc przeglądy będę szeregował chronologicznie, awizując najcenniejsze pozycje z cotygodniowego serwisu wydawniczego.

Ukazało się kilka wartościowych przekładów. Na plan pierwszy wysunąłby reprezentatywny dla tak mało u nas znanej literatury węgierskiej powieść Geza Gardonyi „Gwiazdy Egeru” (wyd. „Czytelnika”), żywo, nieco po sienkiewiczowsku podany obraz Węgier XVI wieku w okresie wojny domowej (Zapolya i Ferdynand) i odporu całego narodu przeciwko Turkom. Symbolem tego odporu stały się walki o męźnie bronią twierdzącą Eger. „Nasza Księgarnia” przyswoiła językowi polskiemu mniej u nas znany utwór Waltera Scotta „Guy Mannering” opowieść o osiemnastowiecznej Anglii a zwłaszcza Szkocji, z typowo walterscottowskim arsenalem przygód, powikłań, z romansem i awanturą. Trochę traci to myśką, ale miejscami pasjonuje zgoda niezwykła. Staraniem „Książki i Wiedzy” otrzymaliśmy nową powieść Anatola Winogradowa, dobrze u nas znanego z książek poświęconych wybitnym twórcom. Tym razem powieść „Czarny Konsul” o akcji rozgrywającej się w czasie rewolucji francuskiej, jej upadku i przejęciu władzy przez Napoleona, ukazuje dzieje francuskich posiadłości kolonialnych, aż po powstanie na wyspie San Domingo pod wodzą murzyńskiego generała, „czarnego konsula”, Toussanta. Książka, oparta o autentyczne dokumenty, obficie cytowane, robi wstrząsające wrażenie. W tym samym wydawnictwie opublikowano Alberta Maltza „Wędrówkę Simona McKevera”, świetną, wnikliwą opowieść o dziejach starego rency, kaleki, autostopem przemierzającego drogi Kalifornii, umiającego patrzeć i oceniać, a wreszcie wyciągać właściwe wnioski. Pod pozorem niefrasobliwej często formą ukazany tu został jeden z ludzkich dramatów, poszerzony o kapitalny obraz społeczny dzisiejszej Ameryki.

Skoro mowa o przekładach, warto zaanonsować, że w ramach „Biblioteki Powszechnej” ukazała się świetna powieść Aleksandra Tołstoj „Droga przez mękę”, obok arcydzieła Szolochowa najpełniej ukazująca proces rewolucyjnych przemian w Związku Radzieckim. Tołstoj wydał „Czytelnik”, natomiast MON w tej samej „Bibliotece” wznowił głośną „historię długą i prawdziwą jednego oceanu, dwóch okrętów i około pięćdziesięciu mężczyzn”, jak charakteryzował swą powieść Nicholas Monsarrat, autor „Okrutnego morza”, jednego z najbardziej wstrząsających utworów ukazujących walkę morską w ostatniej wojnie, będących zarazem wielkim tej wojny i sił, które ją wywołały, oskarżeniem.

Z serii bibliofilskich albo edycji zbiorowych również jest do zanotowania kilka pozycji. W PIW-owskiej serii „Z jednorożcem” ukazała się „Pochwała lisy” Syneusza z Cyreny, utwór zrodzony na gruncie sofistyki, nie stychanie zabawny w dzisiejszym odczytywaniu. Również PIW opublikował kolejny tom edycji pism F. Dostojewskiego „Sobowót”, składający się z dziewięciu opowiadań w przekładzie Gabriela Karskiego i Seweryna Pollaka. LSW natomiast rzuciła na rynek księgarski kolejny tom dobiegający już końca edycji powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Tym razem jest to „Brühl”. Wydawnictwo Literackie w Krakowie niezmordowanie kontynuuje dzieła Wacława Sieroszewskiego, wydając obecnie powieść „Jan-Guj-Tzy”, znaną u nas bardziej pod tytułem „Zamorski diabeł”, gdzie tendencje społeczne w obrazie Chin splatają się z osobistym losem bohatera i jego tragicznej miłości do pięknej Chin-ki — Lien, Entuzjasci Emila Zoli, a tych u nas nie braknie, mogą zapoznać się z wydawną dopiero przez PIW powieścią „Lourdes”, stanowiącą pierwszą część cyklu „Trzy miasta”, z których przed paru laty opublikowany został „Rzym”.

W „Czytelniku” pięknie wydany został pod redakcją J. Parandowskiego tom pt. „Pisarze świata Mickiewiczowi”, zawierający głosy współczesnych pisarzy, zaproszonych przez PEN-Club polski do wypowiedzi. Wśród 41 autorów spotykamy wiele wybitnych nazwisk, ale mimo to zawartość tomu w jakimś stopniu rozczarowuje: oddzwic na apel PEN-Clubu był słabszy, niż się należało spodziewać...

MON wydał ciekawą pracę prof. Henryka Batowskiego „Kryzys dyplomatyczny w Europie, jesień 1938 — wiosna 1939”, bardzo unikiwe, udokumentowane studium okresu, poprzedzającego drugą wojnę światową. Znowu się przypomina Monachium, ówczesną atmosferę niepewności, pierwsze ataki Osi i ostatnie próby uratowania pokoju. Książka bardzo zmienna, stająca się także aktualnym ostrzeżeniem.

z najważniejszych ogniw naszej ekonomiki. Otwierają się przed nią wielkie perspektywy. Stał się się poięgą w dziedzinie przemysłu stocznioowego i wszystko wskazuje na to, że coraz więcej budować będziemy statków dla siebie i dla zagranicznych armatorów. Optymistyczne perspektywy.

Nie jesteśmy marzycielami

To tytuł zamieszczonego w Polityce artykułu Barłosa Janiszewskiego, który omawia najwęższą polską inicjatywę międzynarodową — Plan Rapackiego. Inicjatywa ta od kilku lat nabrała szerokiego rozgłosu i światowej popularności. „Polska idea strefy bezzatomowej atakowana była na Zachodzie, głównie w USA, przez zwolenników zasady „wszystko albo nic”. W myśl ich rozumowania, nie należy podpisywać porozumień na temat ograniczenia zbrojeń atomowych, lecz czekać na rozwiązanie całokształtu kwestii atomowej (...) Polskie stanowisko jest przeciwne takim schematom. Skoro nie można osiągnąć od razu „wszystkiego”, trzeba szukać porozumień łatwiejszych do osiągnięcia, zmierzając ciępliwie, krok po kroku, do rozwiązywania bardziej skomplikowanych problemów”.

Mimo woli nasuwa się uwaga: czy ci, którzy nie chcą częściowych rozwiązań, rzeczywiście pragną powszechnego rozbrojenia? Nikt nie może odmówić Planowi Rapackiego realnych i — przy dobrej woli — nieludnych do urzeczywistnienia postulatów, tym bardziej że Plan nie narusza sytuacji wojskowej w Europie na niekorzyść Zachodu.

Nowa Kultura publikuje m. in. interesujący reportaż J. Ambroziewicza i A. Rowińskiego pt. Rejs (znów z okazji X wieków Gdańska). Autorzy opisują dzieje „Soldka” — statku i człowieka.

Przyjemnej lektury!

LEKTOR

Z TEK I. ŻEBROWSKIEGO



Znany pisarz poezji, Eugeniusz Pauksza, autor 18 wydanych książek, w tym między innymi znanej z fragmentów drukowanych w „Głosie” powieści pt. „Wszystkie barwy codzienności”, w karykaturze Juliana Żebrowskiego.



Tygodniki całej Polski czelowe szpalty poświęcają 18 rocznicy urodzin Polski Ludowej. Z tego „bloku” wylamało się tylko Prawo i Życie, które dla odmiany cały numer przeznaczyło Gdafiowski i morzu. Ale o tym — nieco dalej.

Reportaż o Polsce

W ubiegłym tygodniu omawiałem pierwszy reportaż o współczesnej Polsce pt. „Rzecznie-pospolita”, który ukazał się w Przeglądzie Kulturalnym. W najświeższym numerze tego tygodnika znajdujemy drugi z cyklu reportaż Aleksandra Malachowskiego. Cyklem „dzieli się” dwie redakcje: Przegląd Kulturalny wydrukuje reportaże z terenów centralnych, południowych i wschodnich, zaś Życie Warszawy — z ziem zachodnich.

W odcinku zatytułowanym: **Do Galicji, do Galicji** nie brak również ogólnych rozważań, których fragment właśnie dzisiaj ma szczególną wymowę:

„Warto pamiętać, że na 1000 mieszkańców Polska utraciła 220. A Anglia — 8, Francja — 15, Belgia — 24, Holandia — 22, Czechosłowacja — 15, a Stany Zjednoczone — 1,4. We Francji majątek narodowy zmniejszył się na skutek działań wojennych o 1,5 proc., w Anglii o 0,8 proc.

Trzeba patrzeć na tę Polskę, która zniszczona, wypalona i wymordowana zdobyła się na wyczyn nie mający precedensu w historii, to jest zagospodarowała w błyskawicznym tempie i osiedliła na nowych, odzyskanych ziemiach kilka milionów ludzi. Bogata, napompowana potężnymi zy-

skami z kolonii Francja zamartwia się dzisiaj o konieczność przesiedlenia miliona Francuzów z Algierii do Metropoli. Arcybiedna Polska, w której niczego prawie nie było i nie prawie nie działało, przylecia, nakarmiła i osiedliła kilkakrotnie więcej ludzi”.

Ten retrospektywny fragment służy autorowi jako tło do uzmysłowienia czytelnikowi ogromu przemian, do wykazania wielkich szans rozwoju Polski. Bardzo pouczający jest ten reportaż.

18-letniej Polsce...

Tygodnik Demokratyczny, pismo Stronnictwa Demokratycznego, zamieszcza artykuł wstępny, w którym czytamy:

„Zasady Manifestu Lipcowego stanowią główny drogowskaz naszych poczyną. Ich podstawowa, wywodząca się z programu polskiej lewicy społecznej, myśl polityczna, oparta na dwóch założeniach: budowie nowego, sprawiedliwego ustroju i powiązaniu się braterską przyjaźnią i współpracą ze Związkiem Radzieckim oraz krajami Demokracji Ludowej — stanowi podwalinę dalszego naszego rozwoju i trwałego bezpieczeństwa”.

W artykule Andrzeja Bobera pt. **Osiemnaście latki na start! (Życie Gospodarcze)** znajdujemy takie oto sformułowanie:

„Nasze dzisiejsze 18-latki wychowane w okresie, w którym olbrzymie środki przeznaczone są na ich kształcenie, a hasło „wszystko dla młodzieży” znajduje w codziennej praktyce tysiące dowodów, są szczerze przekonane — i słusznie — że właśnie tak być powinno, nie wyobrażając sobie, by mogło być inaczej! I nie zawsze chcą słuchać i brać na serio — traktując swoich rozmówców jako nieszkodliwych maniaków — sytuacji, w jakiej znajdowała się młodzież studiująca przed wojną”.

Polityka we wstępniku pt. **Kariera** tak pisze: „Gdyby jednym lapidarnym skrótem myślowym należało określić istotę Dwudziestego Drugiego Lipca — tylko jeden synonim może stanowić najpełniejsze odzwierciedlenie. A mianowicie: a w a n s, k a r i e r a. Awans narodu — jako rzecz najpełniejsza, awans klas społecznych, awans ludzi i środo-

wisk. A poza tym: kariery (w najpozytywniejszym sensie tego słowa) całych galezi nauki, gospodarki, przedmiotów i nawet pojęć (...) Dziś — w roku 1962 — obojętnie mijamy wystawę sklepu wypełnioną kilkudziesięciami typami radioodbiorników. Nie robi na nikim wrażenia telewizor, pralka, odkurzacz. Nie stanowi problemu podaż roweru czy motocykla, mimo że jeszcze kilka lat temu rarytasem był garnek aluminiowy”.

Oto kilka zaledwie drobnych fragmentów pozwalających nam uzmysłowić sobie, chociaż są to artykuły okolicznościowe, ogrom zmian dokonanych w ciągu polskiego 18-lecia.

Gdańsk i morze

Cały dwutygodnik prawnospołeczny **Prawo i Życie** poświęcony jest Gdańskowi. Okazja nie była jaka: X wieków najstarszego polskiego portu. Największą uwagę przykuwa artykuł **Hermana Burana** pt. **Uprawa morza**. Autor omawia korzyści, jakie nasza gospodarka narodowa czerpie z żeglugi i z przemysłu stocznioowego: „W tych dniach wejdzie do eksploatacji nowy dziesięciotysięcznik Polskich Linii Oceanicznych M/S „Hanka Sawicka”, zbudowany przez stocznia w Szczecinie. Tym statkiem Polska Marynarka Handlowa osiągnie jeden milion ton nośności. Dodajmy — pierwszy milion ton. A więc wzrost do stanu z 1939 r. 8-krotnie. (W tym samym czasie flota światowa wzrosła 2-krotnie)... Plany narodowe przewidują dalszą rozbudowę floty (...) Wydaje się, że w 1970 roku Polska Marynarka Handlowa winna osiągnąć stan między 2 i 2,5 mln ton nośności. I co dalej? Około roku 1970 nastąpi zasadniczo zaspokojenie potrzeb przewozowych naszego handlu zagranicznego w zakresie transportu morskimi. Czy w ramach międzynarodowego socjalistycznego podziału pracy naszej flocie może przypaść zadanie zabezpieczenia transportu morskiego krajów — członków RWP? Wprawdzie ZSRR ma flotę dużo większą od naszej, ale jest ona zatrudniona przede wszystkim dla przewozów w obrębie samego Związku”.

Gospodarka morską — to na pewno jedno